Nr. 264

Dodatek do „Gazety Narodowej“

z dnia 22 Września 1901.

Głos wyborcy pow. dąbrowskiego o wyborze posła Bojki we Lwowie.

Szanowna Redakcyo! Artykuł wstępny „Gazety Narodowej“ Nr. 256 stara się wejść w istocie na drogę pośrednią między temi drogami, które obrały dzienniki, rozpisując się o wyborze Bojki we Lwowie. Obecnie, gdy już ucichły echa różnorodnych opinii w tym względzie, będzie na czasie, aby mogli swoje zdanie wypowiedzieć o wyborze Bojki we Lwowie ci, którzy nie głosowali nań w Dąbrowie.

Łatwo zapalny umysł mieszkańców stolicy, którzy niedawno nasłuchali się „Wesela“ i „Manru“ — zapłonął wielkim, choć słomianym ogniem na myśl, że chłop, ot taki sobie chłop z „Wesela“, będzie posłem stolicy i nie rozważając dalszych następstw tego kroku, który w lot *Przyjaciel ludu* i *Kurjer lwowski* i inne pokrewne im pisma wykorzystały dla swoich celów — na sposób iście amerykański, niezrozumiały dla wielu, a najmniej dla mieszkańców dąbrowskiego powiatu, — oświadczył się za wyborem Bojki i wyboru dokonał.

Wyznajemy szczerze, że gdybyśmy przewidzieli, iż Lwów tak pragnie posiadać „sympatycznego Piasta“ z Dąbrowskiego w swoich murach, bylibyśmy pracowali, aby ten „Piast“ w istocie uzyskał mandat, a uczynilibyśmy to także i dlatego, aby nie robić rozgłosu upadającej sekcie „ludowców“, aby nie wystawiać na próbę rozumu polityków krajowych, którzy do dziś nie umieją sobie wytłómaczyć wyboru Bojki we Lwowie, a osobliwie, aby oszczędzić blagi żydom i Rusinom z *Kurjera lwowskiego*, piszącym po wyborze patryotyczne artykuły i niedozwolić, aby ci panowie z naszego powodu, a kosztem dobrej sprawy kraju przeżywali „choćby jeden dzień słoneczny“ na bruku lwowskim.

Jednak my mieszkańcy pow. dąbrowskiego na „Wesela“ i „Manru“ nie chodzimy, a na Bojkę patrzymy z bliska bez szkieł powiększających i upiększających i dlatego braliśmy wybór jego tak, jak on się nam przedstawiał na miejscu Jesteśmy Polakami i katolikami, a uważaliśmy, że Bojko naszą jedność polską w Wiedniu rozbijał i kładł swój krwawy podpis, jak na dyabelskim cyrografie — przeciw Ojcu św. a nawet przeciw sakramentom i Chrystusowi Panu; dalej nie zdołaliśmy się dotąd o patryotyzmie Bojki przekonać, który wprawdzie wypowiedział kilka toastowych mówek patryotycznych na szerokim świecie dla zjednania sobie krzykliwych patryotów, ale polskiej sprawie we Wiedniu niejedną niedźwiedzią wyrządził przysługę, a obcując między swoimi sąsiadami na wsi, swojej miłości dla ojczyzny nie zaznaczył niczem więcej, jak każdy inny włościanin. Nadto ten człowiek przez impresaryów nadmuchany, w pysze, jako w słońcu chodzi i tą pychą dalszych i bliższych a nawet najbliższych ze swego stronnictwa — o ile wiemy — po kolei obrażał, a w dodatku nie trzymał się swego chłopskiego rozumu i woli wyborców, ale statecznie po rozum chodził do patryotycznych żydów i Rusinów od *Kuryera lwow.* (od których prawdopodobnie otrzymywał i jeszcze będzi otrzymywać bruliony swoich mówek). Wreszcie ponieważ z powodu zamierzonej budowy kolei w Dąbrowskiem i innych powiatowych prac, chcieliśmy mieć we Lwowie człowieke, któryby miał więcej w głowie ponad kilka oklepanych frazesów — dlatego szukaliśmy na posła innego człowieka.

Wybór padł na ks. Wilczkiewicza tylko dla tego, że reprezentuje on inny kierunek polityki, oraz wyższą sumę inteligencyi, niż Bojko, i dawaliśmy nań głosy w tem przekonaniu, że zmiany posła wymaga po nas nie poezya wprawdzie, ale ciężka potrzeba życia ziemskiego i duchowego.

Stolica kraju nie pochwaliła naszej pracy. Wybrała Bojkę we Lwowie i dlaczego? Czy inteligencya Bojki była potrzebną stolicy? Chyba nie. Czy ten wybór miał być demonstracyą? Może, ale przeciw komu? Czy przeciw miastom, inteligencyi, księżom i chłopom w dąbrowskiem, którzy Bojki nie wybrali? Przecież oni lepiej wiedzą kto im potrzebny we Lwowie. Czy przeciw rządowi, który popierał Bojkę jak to zaświadczą wójt z Dąbrowek i inni, którzy byli proszeni przez urzędników starostwa, aby za Bojką głosowali. Czy przeciw komitetowi centralnemu, który zgoła w wyborach naszych nie miał udziału? Czy przeciw ks. Wilczkiewiczowi, który ani jednego wiecu nie zwołał, ani jednej mowy nie powiedział i zupełnie nie stawiał kandydatury.

Czy może wybierano Bojkę, aby miłość dla ludu okazać? Ale w tym wypadku, dlaczegoż nie wybierano np. upadłego Średniawskiego, Daty i tylu innych, którzy w niczem nie ustępują Bojce, a może go przewyższają? Tak, więc sympatya do figurki, wąsików i do gładko brzmiącego nazwiska Bojki decyduje o polityce stołecznego miasta? Gdybyż to jeszcze urocze Lwowianki głosowały!

Nie dziwimy się zresztą młodzieży akademickiej, że pod hasłem: „z ludem“ zapaliła się do kandydatury Bojki; owszem z tego zapału się cieszymy. Dobrze, że ta młodzież teraz ma dużo gorącości dla ludu, że na skrzydłach młodości sercem wzlata ponad niwy nasze i święty ogień miłości ludu w sobie rozpłomienia. Dobrze, bo kiedy później stanie na stanowiskach lekarzy, sędziów, nauczycieli lub księży, będzie zmuszoną szukać w sobie niewyczerpanych zasobów tej miłości, aby nie zapłakać nad dawnem złudzeniem. Nie dziwimy się, że głosowali za Bojką ludowi szowiniści i macherzy, którym potrzebna reklama przez wybór Bojki dla swoich ciemnych celów, ale stanowczo dziwimy się, że ludzie rozumni, uczeni i prawdziwie kraj miłujący dali się porwać wyborczym szałem, bo tym aktem bynajmniej nie przysłużyli się sprawie narodowej i naszej religii. Międzynarodowy i bezwyznaniowy socyalista w swojej własnej skórze nie ma, jak dotąd, przystępu do naszego włościanina i mieć go nie będzie, ale znajdzie drogę za pomocą „ludowców“, którzy niby to swoi, rozkrzewiają zasady socyalistyczne szybko wśród ludu. W tem leży niebezpieczeństwo dla kraju i w tem — zdaniem naszem — zasługa tych, którzy nie wybierali w dąbrowskiem Bojki na posła.

Stało się inaczej i stało się źle. Dotąd lud polski i katolicki w powiecie dąbrowskim w swojej lepszej i znaczniejszej części nie chciał mieć styczności z „ludowcami“, chociaż ciężkie obelgi od nich znosił na jarmarkach, odpustach, w gazetach, a osobliwie przy wyborach — teraz ten lud straci niewątpliwie do reszty odwagę i ochotę do walczenia z napastnikami. Obiegają już teraz wieści po dąbrowskim powiecie, że p. namiestnik, to znów p. marszałek krajowy, ba nawet najjaśniejszy cesarz „zatwierdził“ ludowców, że urzędnicy starostwa w Dąbrowie i znaczna liczba księży, nawet proboszczów, będzie za upadek Bojki wypędzoną na cztery wiatry,—że teraz każdy chłop musi być ludowcem, że Bojko „nie puści“ ks. Wilczkiewicza do sejmu, że nowe wybory w dąbrowskiem a nawet we wszystkich powiatach, gdzie ludowcy upadli, są już rozpisane itp. *Przyjaciel ludu* pływa w obłokach uniesienia, *Kuryer* podkręcając pejsy, uderza w „racławickie kosy“ i jasne sobie dni prorokuje. Czy to wszystko po myśli tych, którzy głosowali we Lwowie na Bojkę i tych, w których ręce Bóg złożył przyszłe losy ojczyzny i kościoła?

Mamy mimo tego wszystkiego, co się stało, ufność, że Opatrzność Boska zachowa ten lud polski — lud boży od herezyi „socyalistyczno-ludowej“, mamy nadzieję, że fajerwerk, jaki ku większej czci i chwale „Dąbrowskiego Piasta“ wystrzeliła stolica, zagaśnie, nie wyrządzając wielkiej szkody,—jednak nie możemy się pozbyć bolu serdecznego, że naszą pracę w dąbrowskiem, podjętą dla dobra kochanej ojczyzny i katolickiego Kościoła przejęły jeśli nie wrogo, to zimno i obojętnie nawet takie pisma, które stoją na naszym gruncie, to jest narodowym i katolickim.

Dąbrowiak.

Fejleton literacki.

(Nowa komedya Ludwika Fuldy.)

Ludwik Fulda, jeden z najgłośniejszych dziś dramaturgów, napisał nową komedyę, wystawioną dnia 6 bm. po raz pierwszy na scenie teatru lipskiego. Nowość ta napisana jest wierszem, ma cztery akty i nosi tytuł: „Siostry bliźniacze“ (*Die Zwillingsschwestern*).

Oto treść premiery. Szlachcic Orlando, bogaty posiadacz ziemski, ma żonę Giudittę, istotę piękną, rozumną, szczerze kochającą męża i kilkuletniego synka. Orlando płaci żonie wzajemnością, ale po paru latach pożycia małżeńskiego budzą się w nim pragnienia nowych uczuć i nowych wrażeń. Pragnienia te zręcznie podsyca hr. Parabosco, najbliższy sąsiad Orlanda, człowiek zły i przewrotny, słynny hulaka i rozpustnik.

— Mężczyzna jest przecież mężczyzną, a nietylko małżonkiem — twierdzi filozoficznie cyniczny hrabia i mruga znacząco, gdy w pokoju zjawia się panna służąca, Liza, żona strzelca, pozostającego na służbie u Orlanda.

Liza ma ładną twarzyczkę, ale upośledzona od natury jąka się, a, co więcej, nie grzeszy wielkim rozumem. Lecz Parabosco jest zdania, że nie należy zrażać się temi drobnemi brakami i radzi Orlandowi wyprawić Giudittę gdziekolwiek w daleką pielgrzymkę, a do towarzyszącego jej orszaku przyłączyć męża Lizy. Wszystko składa się jaknajlepiej: Giuditta, chcąc wypróbować uczucia Orlanda, sama prosi go o pozwolenie odwiedzenia swej matki. Łudzi się ona nadzieją, że mąż o rozłące nie będzie chciał słyszeć, tymczasem Orlando nietylko pochwala projekt, lecz stara się nawet wyjazd przyspieszyć.

Podczas przygotowań do drogi zjawia się posłaniec, wysłany przez siostrę bliźniaczą Giuditty, Renatę, zapowiadającą swój przyjazd. Na tę wieść Giuditta pragnie podróż odłożyć, ale gdy temu sprzeciwia się Orlando, postanawia użyć podstępu. Siostry podobne są do siebie, jak dwie krople wody i na kraj cały słyną ze swego podobieństwa, a Orlandy nie zna Renaty. Gdy więc wszelkie próby pozostania w domu nie odnoszą skutku, Giuditta wyjeżdża, lecz tylko po to, aby tego samego dnia powrócić, jako siostra. Podejrzenia, jakie nagły ten przyjazd wzbudza w Orlandzie i wszystkie jego wątpliwości co do tożsamości osoby rozprasza zwolna zachowanie się Giuditty. Tak np. udaje się na spoczynek po drodze, a w chwilę potem przysyła pannę służącę ze skargą na brak różnych niezbędnych przedmiotów w jej pokoju. Mniemanej Renacie potrzeba zieleni i pachnących kwiatów, a więc bzu, fiołków i narcyzów, potrzeba jej lwich skór i miękkich poduszek o pokryciu jedwabnem, wreszcie chciałaby mieć w swem otoczeniu coś żyjącego: młodą małpkę, wiewiórkę lub choćby papugę, lecz głównie potrzebny jej wielki dywan puszysty. Tak jest, przedewszystkiem dywan, bo Renata ma zwyczaj tańczyć zrana boso po pokoju!

Szczebiocząca Giuditta, żywa, wesoła, figlarna, budzi uczucia miłosne w sercu Parabosca, a jednocześnie rozkochuje w sobie męża. Parabosco pragnie zdobyć rękę Renaty i zwierza się z tem Orlandowi, prosząc go o pośrednictwo, lecz rozkochany szlachcic wybucha strasznym gniewem, gdyż sam pała taką miłością, że na gwałt pragnie rozwieść się z żoną i poślubić mniemaną jej siostrę. W tym celu pisze on do żony list, który wysyła przez należącego do spisku męża Lizy, a tymczasem wyprawia na zamku huczne zabawy i uczty, asystuje pięknej pannie, wyświadcza jej tysiące grzeczności, prawi komplementy i coraz więcej pogrąża się w miłości.

Sielankę tę przerywa przyjazd prawdziwej Renaty, w której rozkochał się malarz Valla, towarzyszący jej w drodze z Florencyi. Następuje kilka nieporozumień i komedya dobiega do kresu. Naturalnie wszystko kończy się jak najlepiej: Orlando nanowo rozkochuje się w żonie, Valla otrzymuje rękę Renaty, a hr. Parabosco odchodzi z kwitkiem.

Taka jest w grubych zarysach treść komedyi. Pomysł niewyszukany i bardzo prosty, lecz nadający się do wysnucia tysiąca najróżnorodniejszych pomyłek i sytuacyi komicznych, nie został wyzyskany przez autora Intuicya poety powstrzymała rozmach komedyopisarza i dobrze się stało, bo wobec zawiązania intrygi komedyę Fuldy tylko umiarkowanie artystyczne dzieli od farsy, a od banalności ratuje prostota. W „Siostrach bliźniaczych“ niema tyle poezyi, co w „Talizmanie“, najpiękniejszem dziele Fuldy, ale jest jakaś rozbrajająca widza naiwność, niema grubych efektów scenicznych, ale jest sporo zalet literackich, niema humoru, zdolnego wywołać wybuch głośnej wesołości, ale jest jasny uśmiech poety, pogodnie patrzącego na świat. Akcya od początku do końca toczy się w jednakowem dość powolnem tempie, ale nie utyka, nie nuży i nie nudzi, lecz bawi, a to wraz z wymienionemi już zaletami wystarcza dla sztuki mającej pretensyę do do długiego życia na scenie. Dla ścisłości zaznaczyć jeszcze należy, iż rzecz rozgrywa się w XVI w. we Włoszech. Powiadam: dla ścisłości bo w „Siostrach bliźniaczych“ ani tło dziejowe, ani koloryt miejscowy żadnej nie odgrywają roli.

Smiech na scenie.

Powiedział ktoś, że dla łez tłumu można mieć zawsze współczucie, dla śmiechu jego nigdy. Zdanie to przypomniała mi się, gdy, gawędząc z jednym z przyjaciół o krytyce teatralnej, usłyszałem twierdzenie, że skoro na przedstawieniu komedyi panuje wesołość, wtedy sztuka musi być dobra, a przynajmniej znośna.

— Nie rozumiem was — mówił on do mnie. — Obdzieracie nieraz skórę z autora, a potem kończycie wasz obrachunek ironicznym okrzykiem: „Ale publiczność biła brawo aż miło!“ Otóż, mój drogi, ja twierdzić się ośmielam, że tam, gdzie się ludzie śmieją szczerze i serdecznie, tam musiał bądź co bądź talent komiczny przemówić ze sceny.

— Za pozwoleniem, przyjacielu. Smiech tłumu w życiu i sztuce nie dowodzi niczego. Im dowcip jest subtelniejszy, im humor wytworniejszemi pracuje środkami, tem większa cisza zalega galerye... Czyś ty uważał, jakie efekty komiczne wywołują największą wesołość? Jąkała mówiący o miłości, garbusek pijący z olbrzymiej butelki, gruba baba wspinająca się po drabce itp. Wogóle ułomności fizyczne, karykatury ruchów oddziaływają najsilniej na nerw śmiechu ludzkiego tam na paradyzie, a zresztą nietylko na paradyzie. I publiczność przeciętna, zasiadająca loże i krzesła, lubi ten rodzaj komizmu, choć mniej hałaśliwie radość swoją objawia.

61

W domu na moczarach.

POWIEŚĆ

FLORENCYI WARDEN.

Z ANGIELSKIEGO.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Ciąg dalszy).

Spostrzegając się nareszcie, że nic mi nie pomoże próżne łamanie głowy nad tem, postanowiłam sobie, w razie jakiegoś wypadku, zatelegrafować do mr. Raynera, a ten trafi niezawodnie do jej rozsądku.

Wyciągnęłam więc jeszcze raz list Henry'ego i po powtórnem odczytaniu, zdziwiłam, że w takim ważnym liście, donosił mi też o jakimś wozie i ludziach widzianych na ścieżce wiodącej do zabudowań stajennych. Dlaczego wydało mu się to dość ważnem? Bo, że mnie to wczoraj zastanowiło, to inna rzecz.

Poznałam Toma Parkesa, widziałam torbę, którą następnie Sara przechowała w domu, widziałam też ich dziwne podejrzane skradanie się w około domu; ale on? Jego wzmianka o wozie i dwóch osobach na ścieżce rozbudziła na nowo moją ciekawość. Postanowiłam tedy napisać o tem Henry'emu; a może zdołamy w ten sposób wspólnie całą rzecz wyświetlić. Patrzyłam jeszcze bezradnie na mały liścik, kiedy powtórnie weszła Sara do pokoju. Widziałam jak spojrzenie jej padło prosto na list i dostrzegłam też wyraz rozczarowania i niepokoju, jakim zabłysły jej oczy na ten widok.

Na drugi dzień otrzymałam list od mr. Raynera. Pisał, że był wczoraj w teatrze i dołączył nawet afisz, pokreślony własnemi uwagami o grze artystów, które mnie nie bardzo zajmowały. Zaśmiałam się jednak mimowolnie z dziwnego urojenia Henry'ego, który utrzymywał, że potrącił go wczoraj na stacyi w Beaconsburgh, przebranego za robotnika, kiedy on był wtedy właśnie w teatrze. Pisał też, że wysłał list do żony z dopiskiem dla Alicyi, a w końcu dawał polecenie dla Sary, z czego nie byłam zadowoloną, bo wolałam, żeby to był sam wprost uczynił.

— Mr. Rayner przysłał mi listowne polecenie dla Sary — powiedziałam podczas śniadania — pisze: - - Proszę przypomnieć Sarze, aby nie zapomnieć w czasie mojej nieobecności uczynić tego, co jej przed odjazdem rozkazałem.

Kiedy po przeczytaniu tych słów, spojrzałam na nią, przestraszyłam się trupiej bladości jej twarzy i ponurej zawiści w oczach, z jaką patrzyła na mnie.

— Bardzo dobrze, miss — odpowiedziała dobitnie tak, że byłabym się chętnie dowiedziała, co to ma być, ale bałam się zapytać.

Resztę dnia spędziłam przy łóżku Alicyi. Mrs. Rayner nie przyszła ani do śniadania, ani do obiadu, a Sara odpowiedziała podobnie jak wczoraj, że jest chorą. Tak więc znikła dla mnie nadzieja większego zbliżenia się do niej.

Było może około czwartej popołudniu, kiedy wyszłam trochę do ogrodu. Było tu wprawdzie trochę mokro i mgła występowała już z moczarów, ale to mnie nie odstraszało wiele, bo chciałam zerwać jeszcze trochę jesiennych kwiatów. Łaziłam więc po najodleglejszych kątach ogrodu, przez co udało mi się zebrać wcale piękny bukiet październikowy, który zamierzałam włożyć w piękną wazę stojącą w salonie.

Poszłam więc tam prosto z ogrodu w sukni podpiętej, z dużym ogrodowym nożem w zabrukanych rękach. Otwierając drzwi, zobaczyłam naraz przy oknie jakiegoś pana spoglądającego w ogród. Cofnęłam się prędko, ale on dostrzegł mnie w tej chwili i wybiegł naprzeciw.

— Miss Christie!

Był to mr. Carruther.

— Powiedziano mi, że pani wyszłaś z domu.

Aha, Sara — pomyślałam, — Nie, wyszłam tylko do ogrodu, — odpowiedziałam głośno.

Teraz już nie mogłam się cofać. Spokojnie więc odpięłam szpilki, podpinające suknię i słuchałam jego rozmowy.

— Jakże się cieszę, że panią widzę znowu. Jak pani ślicznie wygląda. Obawiam się, — mówił dalej, podając mi rękę — że pani nie żałowałaś wcale za nami.

— Nie miałam przyjemności znać wszystkich państwa dłużej nad dwa dni.

— Wszystkich państwa! Jakby mi na tem szczególnie zależało, czy pani żałuje za „wszystkimi“, lub nie. Myślałem jedynie o sobie, myślałem, czy nie żałowałaś pani za mną?

— Pana nie znałam dłużej od innych — odpowiedziałam z uśmiechem.

— Ale poznałaś mnie pani lepiej od innych? — zapytał.

— Tego nie wiem.

— Czy nie mówiłaś ze mną więcej, jak z innymi?

— Tak.

— Czy nie przechadzaliśmy się razem częściej, jak inni?

— Rzeczywiście.

— Czy nie podobałem się pani lepiej od innych?

— Tak — zdaje mi się, że tak.

— Ach, jakie to wszystko letnie. Sam nie wiem, dlaczego mnie pani nie cierpi, podczas gdy ja panią tak bardzo lubię.

— O, pan mnie widocznie nie zrozumiałeś, mr. Carrutherze. Lubię pana przecież — ale —

— Otóż mamy znowu! Znowu psujesz pani wszystko swojem „ale“! Czy nie podobam się pani? Zapewniam panią, że ogólnie nazywają mnie najpiękniejszym z mężczyzn.

— Czy naprawdę?

Pytanie to zmieszało mnie samą trochę, ale myślałam, że on żartuje. Później dopiero dowiedziałam się, że tak było rzeczywiście.

— Tak, pięknie, doczekałem się policzka nr. drugi, ale nie dam się tak łatwo pokonać. Czy pani nie masz mnie za dobrego człowieka?

— O nie!

— Ależ dlaczego nie, miss Christie? — zawołał, udając zrozpaczonego.

Właściwym powodem, dlaczego nie miałam go za „dobrego“ był ten, że wyzyskał mą nieświadomość zwyczajów światowych i namówił mnie do tej pamiętnej przejażdżki po rzece, wiedząc dobrze, że to nie wypadało. Teraz jednak, kiedy już wszystko szczęśliwie minęło, nie chciałam mu o tem przypominać.

— Wywnioskowałam to z sądu innych, którzy utrzymywali, że pan nie jesteś bardzo dobrym i nie starasz się nawet o to, aby pana za takiego uważano — odpowiedziałam.

— Ale po naszej rozmowie niedzielnej powziąłem mocne postanowienie poprawienia swego życia.

— Nie, nie wierzę w to, — odpowiedziałam. Obiecujesz pan to jedynie dla żartu, abyś się pan mógł przekonać o mojej łatwowierności.

— Czy pani wszystkich tak ostro sądzi, miss Christie, czy tylko mnie jednego?

— Tak, wszystkich, nie robię żadnych wyjątków.

— O — hm — czy wliczasz w to i tego pana np., od którego miałaś pani różę?

Mówił to z dobrze udanem zmieszaniem, spoglądając w dywan, jakby chciał uniknąć mego wzroku. Mimo woli zarumieniłam się i miałam to uczucie, że on to widział, chociaż nie patrzył na mnie.

— Albo — albo może on nigdy nic złego nie czyni?

— O przecież, i on nie jest bez winy! — odpowiedziałam, chcąc mu oddać pięknem za nadobne, bo osądziłam, że już dość długo drwi ze mnie.

— To np. było bardzo nierozsądnem i niesprawiedliwem z jego strony, gdy sądził, że może być zazdrośnym o którego z panów mówiących ze mną w Denham Courcie.

Mr. Carruthers podniósł głowę i wypatrzył się na mnie. Nie wiem jednak, czy był bardziej rozgniewanym, czy ubawionym.

— Nigdy już nie będę asystował pani, bo nie widziałem jeszcze tak niewdzięcznej, małej istoty! — powiedział.

— Asystował! To pan nazywa to: „asystowaniem“? — zapytałam z uśmiechem.

— O, to nie było jeszcze mojem najlepszem wydaniem w tej mierze, chciałbym panią chętnie przekonać.

— O proszę, na co tyle trudu, dziękuję — wierzę panu na słowo, — przerwałam śmiejąc się.

(Ciąg. dal. nast.)

Przypominasz sobie przecie „Ciotkę Karola" i przyznasz chyba, że ona ze sztuką nie ma nic wspólnego. Cyrkowe afekta, duży drab w sukniach kobiecych, przewracający się co chwila i całujący młode dziewczęta. Ot! to cała „Ciotka Karola". A przecież grano ją setki razy prawie na wszystkich scenach europejskich.

— A jednak, mój drogi, — odpowiedziano mi — te same efekty, przez niezręcznego majstra uscenizowane, nie wywierają żadnego wrażenia.

— Im skala czucia artystycznego wśród publiczności jest wyższa, tem wyższe są także wymagania organicznego wcielenia i przystosowania jaskrawych łamańców, czego oczywiście pierwszy lepszy majster klepka nie potrafi. Czasem człowieka złość porywa na te wszystkie idyotyzmy, rozgrywające się w przybytku sztuki, na tę łataninę bez logiki i sensu, na grube efekciarstwo, podane bez wszelkiej przyprawy i konsekwencyi, a galerya bisuje i klaszcze bez końca. Doskonałą farsą jest „Oj! młody, młody" Fredry, ale nie brzmi tam nigdy tak krzykliwa wesołość, jak np. na „Domie waryatów". Im brutalniej jest rzecz podana, tem pewniejszy być możesz, że tłum śmiać się będzie. Najniższym gatunkiem farsy są sztuki klownów cyrkowych, którzy komizm swój przedewszystkiem opierają na masce, kozłach, wykrzywieniach gęby, przyprawnych brzuchach, przebraniach w suknie kobiece, chodzeniu na szczudłach i t. p. A przecież cyrk nieraz trzęsie się od śmiechu. I to ma być miarą artyzmu! Z pewnością, że komedya lub farsa, która nikogo w dobry humor nie wprowadza, arcydziełem nie jest, ale żeby intenzywność i częstość śmiechu w teatrze miała być miarą wartości artystycznej utworu, przeciwko temu protestuję stanowczo. Zresztą, mój drogi, z czego się ludzie nie śmieją.

Widziałem kilka razy „Mazepę" w teatrach prowincyonalnych i zauważyłem, że gdy wojewoda wnosi na barkach trumnę Zbigniewa, zawsze tu i ówdzie śmiech się rozlega. I śmieje się przecież zazwyczaj galerya, gdy Hamlet z trupią głową w ręku rozpoczyna swój słynny monolog, a widziałem raz nawet panienkę, niby inteligentną, zanoszącą się od śmiechu, gdy król Lear z rozwianą brodą skarżył się wichrom na niedolę swoją. O! publiczność z różnych rzeczy się śmieje.

— Ale komedyopisarze są zwykle bardzo zadowoleni, gdy teatr parska i parska.

— Jak który! Znam takich, którzy zgrzytali zębami, gdy oklaskiwano najgłupszy efekt komiczny, a najsubtelniejszy dowcip witano grobowem milczeniem. A jeden ze znanych autorów niemieckich przyznał mi się otwarcie, że przestał chodzić na premiery swoje, bo najlepsze sceny, najbłyskotliwsze dowcipy dyalogu chybiają celu zupełnie, a najtrywialniejsze koncepty wywołują burze oklasków.

— No! a Moliere czytał przecież sztuki swoje własnej kucharce i wtedy dopiero, gdy ona śmiała się do rozpuku, pewnym był, że komedya jest udatna.

— Przedewszystkiem jest to jedna z tych popularnych anegdot, których autentyczność wydaje mi się mocno podejrzaną. A zresztą może kucharka Moliere'a śmiała się ze „Świętoszka" i „Skąpca", ale byłaby się sto razy więcej śmiała z „Ciotki Karola". *Kaprys*

Sztuki piękne.

* **P. Jan Kasprowicz** cofnął się od kierownictwa *Prądu*, nowego czasopisma artystyczno-literackiego, którego pierwszy numer — jak dawniej donosiliśmy — miał się ukazać z początkiem przyszłego kwartału.

* **Tow. polska sztuka stosowana** w Krakowie. Od komitetu tymczasowego otrzymujemy zawiadomienie, że pierwsze walne zgromadzenie odbędzie się 25 października w Krakowie.

Wystawa oryginalnych okazów i wzorów z zakresu polskiej sztuki stosowanej otwartą zostanie dopiero w styczniu w Krakowie. Termin nadsyłania prac: dla projektów, które po orzeczeniu komisyi rozpoznawczej wykonane będą kosztem towarzystwa do 1 listopada; dla reszty projektów, przedmiotów artystycznych i zbiorów do 20 grudnia. Przesyłki adresować należy do Muzeum Narodowego w Krakowie na ręce dyr. dr. F. Kopery. Informacyi udziela I Warchałowski, muzeum narodowe.

* **„Jak się żywimy"**, a jak się żywić i o co starać się trzeba". Pod tym tytułem wyszła popularna broszura, napisana przez K. Prószyńskiego, a wydana nakładem *Gazety świątecznej* (Warszawa 1901. Księgarnia krajowa K. Prószyńskiego, str. 116). Myśl tej pracy powstała w r. 1887, podczas pierwszej wystawy hygienicznej w Warszawie. Redaktor *Gazety świątecznej*, aby uzupełnić braki tej wystawy, nie dającej zgoła żadnego pojęcia, jak żywi się u nas lud, ogłosił kwestyonaryusz w tej sprawie, na który zebrał około 100 odpowiedzi. Ożywiła się wkrótce literatura przedmiotu; następna wystawa hygieniczna 1896 r. dała również wiele ciekawych danych z życia. Wszystkie te materyały p. Prószyński zebrał w całość i wyciągnął z nich przeważnie treść do niniejszej pracy. Studyum to stanowi końcową część książki (od str. 60); pierwsza zaś część jest teoretyczna, wykładająca z przedziwną popularnością ogólne zasady chemii i fizyologii.

Repertoar lwowskiego teatru miejskiego:

W niedzielę „Kościuszko pod Racławicami", obraz hist. w 5 oddziałach W. Lasoty.

W poniedziałek po raz II „One", komedya w 3 aktach Hermana Bahra II. występ G. Morskiej.

We wtorek „San Toy", chińska operetka w 3 aktach Sidney Jonesa. Debiut Stefanii Poreckiej.

W środę „Wesele" dramat w 3 ak. S. Wyspiańskiego.

We czwartek „Odrodzenie" komedya w 3 ak. F. Schönthane i Koppel-Etfelda. III występ G. Morskiej.

W piątek po raz V „Leta" krotochwila Ralfa Gobbinsa.

W sobotę „Walka motyli" kom. w 4 akt. Sudermana.

W niedzielę po raz VI „Jabuka" czyli „Święto jabłek". operetka w 3 aktach Jana Straussa.

Z teatru.

„One", sztuka Hermana Bahra, wystawiona wczoraj po raz pierwszy na scenie lwowskiej, jest to rzecz bardzo ciekawa i dużo oryginalna. „One" są to „panny z dobrych domów", lalki, bez własnej woli, bez indywidualności, bez żadnych głębszych zasad etycznych, oczekujące męża, lub wychodzące za mąż. Zamiast akcyi jest szereg żywych i mówionych fejletonów. Niektóre są przepyszne. Zwłaszcza te, które wygłasza architekt Józef Ulrich, człowiek szczery, otwarty, który ożenił się z jedną taką lalką, lepszą w gruncie rzeczy od innych, i chce ją na człowieka wypolerować. Fejletony wygłaszane przez Ulricha są zupełnie w tonie fejletonów naszego kochanego kolegi redakcyjnego p. Ludwika Stasiaka.

W architekcie bahrowskim i w naszym malarzu dużo jest stycznych, podniesionych jeszcze przez sposób, w jaki p. Roman pojął rolę tego architekty; Ulrich jest bardziej sarkastyczny, Stasiak bardziej serdeczny. Słucha się fejletonów Bahra z wielkiem zajęciem, bo wiele z nich skorzystać można, z wielką przyjemnością, bo ładnie są ilustrowane i wiele w nich dowcipu. Szczerze radzimy pójścia do teatru, gdy „One" będą grane.

Na naszej scenie przedstawione były świetnie i grane bardzo dobrze. Główną rolę, Daisy, narzeczonej, a później żony Ulricha odegrała p. Bednarzewska. Ta rola wypadła najlepiej; była znakomicie odegrana. Bardzo ładnie graną była scena oświadczyn w pierwszym akcie między p. Bednarzewską i p. Romanem. Śliczny był to obrazek. P. Morska, która po raz pierwszy na scenie lwowskiej występowała, podobała się bardzo. Z innych ról kobiecych wyróżniały się p. Otrembina i pna Jankowska, a z męskich p. Solski, Węgrzyn, Wysocki Nowacki. Niektóre role w wykonaniu u nas zakrawały trochę na karykatury, co zapewne nie leżało w intencyi autora.

*

Zamiast streszczenia sztuki Hermana Bahra „One", podajemy kilka z niej urywków.

...Kocham bardzo moją żonę, ona mnie także i będzie z nas jeszcze dobre małżeństwo... Bo czy myślisz, że Pan Bóg ludziom odrazu gotowe szczęście przez okno rzuca? Toby było wygodnie. Nie — trzeba mu trochę dopomódz. Myślisz, że taka młoda dziewczyna, to tak od razu zostanie kobietą, żoną. Przypomnij no sobie, jak to trwa długo, zanim każdy z nas z młodego szczeniaka zostanie mężczyzną. Jak to trzeba pracować nad sobą, ile to przez całe lata ma Bóg z nami kłopotu. Nie, nie. Tak odrazu nikt nie został człowiekiem. Czy to mężczyzna, czy kobieta, musi się nim dopiero stawać. To zupełnie tak jak z drzewem. Nie masz pojęcia, ile to potrzeba pracy, nim się to wypolituruje.

...Chcę, ażeby moja żona nie żyła już teraz dawnem życiem młodej, swobodniej dziewczyny, ale aby się stała częścią mnie samego. Małżeństw prawdziwych jest mało na świecie. Mąż żyje na lewo, żona na prawo, czasami tylko dają sobie *rendez-vous* i nazywają to obowiązkiem małżeńskim. Dziękuję za to. Jeżeli ja co robię, to robię porządnie. Mnie nie wystarcza takie pożycie z żoną. Ja chcę ją wyrwać z jej dawnego życia, od jej rodziny od jej dawnych wrażeń, uczuć, myśli zobowiązań: przezemnie musi ona zacząć żyć nowem życiem, mojem życiem! Tego ja chcę i tego dokażę. Niech przestanie być „panienką" i niech będzie moją „żoną". Tego żądam.

*

... Ja pragnę właśnie, abyś ty nie była lalką, ale kobietą, prawdziwą kobietą. Ani myślę cię tyranizować. Powinnaś mieć swoją wolę i ja tego pragnę. Ale wolę — rozumiesz? Wolę, nie kaprysy. O to tylko idzie. O to jedno. Wziąłem cię taką, no taką, jakie się was wszystkie bierze, was panny z dobrej rodziny, bez woli, bez indywidualności, maryonetki, nakręcone według byle głupiej mody, według byle jakiego frazesu, usłyszanego z ust lada durnia! Taką ty byłaś, takie jesteście wszystkie.

*

...Największe nieszczęście, gdy ktoś się sili na oryginalność, a oryginalnym nie jest. Przecież to śmierć. Pomalować fasadę na zielono, żółto i fioletowo, nazywa się secesyą. Doprawdy, gdy słyszę to słowo, wściekłość mnie ogarnia. I powiadam ci, jeżeli nie nabierzemy rozumu i nie powypędzamy tych fałszywych secesyonistów, tych, co to tylko podszywają się pod sztukę, tych zielonotrawiastoultrafioletowych, to nigdy nie dojdziemy do niczego, i w końcu nazwa: secesyonista, stanie się delikatnym synonimem idyotyzmu, do czego i tak nie wiele już brakuje. Gdy kto jest młodym, oryginalnym, śmiałym — brawo! doskonale! Ale kto udaje młodego i śmiałego, tfu, to już wolę stypendystów z akademii, bo na nic nie pozują. Przynajmniej dopóki są stypendystami. Ale taki pan pomaluje sobie fasadę na żółto, zielono i fioletowo i myśli... Ależ u licha, pończocha szkocka to jeszcze nie dom.

*

...Jestem stolarzem, tak jak mój ojciec i dziad i jestem z tego dumny. Gdy wchodzę do warstatu między swoich ludzi, mam uczucie, za które dziękuję Bogu, że i ja i oni jesteśmy ludźmi pracy. A pan, panie doktorze (krytyk) razem z swoimi ludźmi, jesteście przeciwieństwem do nas. I stąd ta wieczna nienawiść między nami. Nie mam nic przeciw takim ludziom, jak pan, nie zazdroszczę wam, ponieważ brak wam czegoś, co jest największem dobrem człowieka: radości z dokonanego dzieła. Ale myślę sobie: Pan Bóg musiał przecież wiedzieć, na co was stworzył. Tylko nie przeszkadzajcie wy nam pracującym. A wy to robicie.

...Krytycy, to ci, co tylko rozprawiać umieją o wszystkiem, a sami nic nie robią. Najlichszy z tych, którzy coś robią, więcej wart, od tego, co tylko umie „być mądrym", chociaż naprawdę mądrym nie jest. Każdego szewca lub murarza szanować trzeba, ponieważ coś umie i jest pożytecznym. Ale nie takich jak pan i panu podobnych.

*

...Kto chce budować dom, ten ma do czynienia z urzędem budowlanym. Kto chce założyć fabrykę, na tego krzywią się w ministeryum. A jeżeli już ktoś ma nieszczęście stworzyć dzieło sztuki, albo co napisać, to już wszyscy go niecują. I dla czegoż to? Czy tak znów wiele mamy tych talentów, abyśmy nimi tak poniewierali. Cieszmy się, że w ogóle mamy ich jeszcze kilku — kilku ludzi, chcących pracować, działać, tworzyć. Wy ich znieść nie możecie. Są wam solą w oku. Wy chodzicie, węsząc i wyszydzacie wszystko, co ktoś zrobi, na wszystko macie tylko sarkazm, zjadliwe słówka, dowcipy. Niejeden męczy się i poci, nie dospi i nie zazna spokoju, aż nareszcie uda mu się stworzyć coś, dokonać czegoś. I cóż stąd? Przyjdzie taki jeden pan, który przez całe życie swoje nie pracował ani pół godziny, który nie wie nawet, co to jest praca, który niczego naprawdę się nie uczył i nic też nie umie, ale jest wyrocznią, jest pełen wyższego ducha, — rzuca zjadliwe dowcipy, które sobie potem opowiadają po wszystkich kawiarniach i salonach... Otóż tacy dowcipnisie niszczą twórczość i zamiłowanie do pracy, ponieważ napadają ludzi twórczych jak ulicznicy.

ROZMAITOŚCI.

Kuchnie pozadomowe. Paryski korespondent warszawskiego *Słowa* pisze: Nowością jest zaprojektowane przez obywatelkę Schmahl rozwiązanie kwestyi kobiecego równouprawnienia, za pomocą zainicyonowanej już w Berlinie organizacyi zadomowych kuchni. Jedną z głównych, jeżeli nawet nie najgłówniejszą przeszkodą w urzeczywistnieniu dzisiejszego feministycznego programu, to jest w udostępnieniu kobietom wszechstronnego z mężczyznami współzawodnictwa na wszystkich polach społecznej pracy, jest, jak wiadomo, sprawa kobiecego gospodarstwa. Zamężna kobieta nie może pracować za domem, ponieważ ma poddostatkiem roboty w domu. Skasowanie kobiecego gospodarstwa stanowiłoby niewątpliwie, w tym względzie, środek radykalnie skuteczny. Tu jednak nastręcza się szkopuł drugi.

Obywatelka Schmahl i jej towarzyszki zachowują się i projektują tak, jak gdyby istniała tu we Francyi lub gdzieindziej, moc zawodów nieobsadzonych, posad wakujących, środków zarobkowania nie wyzyskanych i czekających na pracę kobiecą. Owóż statystyka wykazuje rzeczywistość wręcz przeciwną, t. j. niedostatek tych zawodów, tych posad, tych środków zarobkowania dla mężczyzn samych. W tutejszych stosunkach nawet, opatrzanie niektórych urzędów niewieścią obsługą, jest także, jak dotąd, rzeczą ofiarności publicznej, i dość kosztownej, na każdą bowiem czwórkę *dam*, zatrudnionych w danem biurze pocztowem, czy telegraficznem, przypada jeden *kawaler*, którego jedyne zajęcie polega na dozorowaniu swych towarzyszek i który mógłby z łatwością robić sam jeden, i lepiej, to, co one robią samoczwart, i gorzej. Dotychczasowym najwięcej widomym owocem *feministycznego* ruchu, jest *tutaj* wytworzenie coraz to liczniejszego niewieściego proletaryatu, w którego szeregach mnożą się patentowane kandydatki do „miejsc" nie istniejących. *Kucharki* ubywają co prawda w odpowiedniej proporcyi, tak, że organizacya zadomowych kuchni może z czasem stać się koniecznością. Przyczem zupę gotować będą w nich oczywiście mężczyźni. A kobiety? Będą zjadały tę zupę, podnosząc wdzięcznym gestem piąte palce wydelikaconych jeszcze rączek — co będzie, w nowej formie, utrwaleniem odwiecznego, i na mój sąd, bardzo właściwego stosunku między dwiema płciami.

7.860 urzędników i służących pełni funkcye w Ildiz-Kiosku. Jest tam: trzydziestu szambelanów, trzydziestu adjutantów i stu sekretarzów; trzydziestu „mussahib'sów" (urzędników, których jedynym obowiązkiem rozweselać sułtana); trzydziestu „dżibi-humajunów" (urzędników do obrachowywania codziennych wydatków); trzydziestu dygnitarzy do zajmowania się garderobą jego sułtańskiej mości; pięćdziesięciu dygnitarzy do spisywania protokułów pod dyktandem mistrzów ceremonij; sześćdziesięciu lekarzy, trzydziestu aptekarzy, pięćdziesięciu łowców grubego zwierza, trzydziestu strzelców do zabijania ptaków; trzydziestu „kandildżisów" (urzędników, strzegących lamp); trzydziestu „chaudandżisów", (urzędników do zapalania świec), trzydziestu „cahnedżisów", których obowiązkiem jest gotować sułtanowi kawę; pięćdziesięciu „kitobdżisów" (bibliotekarzy); dwudziestu tłómaczów, obowiązanych przekładać sułtanowi wszystkie artykuły pism francuskich, angielskich i niemieckich, tyczące się Turcyi; stu dygnitarzy „selamliku" (salon przyjęć), stu dygnitarzy „kilaru" (stołu sułtańskiego); stu dygnitarzy, urzędników, stangretów, groomów dla obsługi stajen; tysiąc lokajów i kamerdynerów, czterystu kucharzy i kuchcików, czterystu służących do noszenia półmisków po pałacu i oficyn pałacowych; czterystu komedyantów, muzykantów, śpiewaków, akrobatów, linoskoków i t. p.; trzystu eunuchów do haremu, pięćdziesięciu dekoratorów, pięćdziesięciu balwierzy, czterystu ogrodników; trzy tysiące niewiast w sułtańskiem gineceum, małżonek, odalisek, niewolnic i t. p.; dwustu „tufandżisów" i „baldżisów", niosących siekiery i stanowiących albańską straż sułtana przy ceremoniale selamliku; pięćdziesięciu mollahów, kapłanów, jałmużników, pięćdziesięciu „ajkwedżisów" (wioślarzy), czterystu urzędników listy cywilnej i t. d. i t. d. Ogółem 7.860 personalu pałacowego.

Ruch pociągów kolejowych od 1 maja 1901.

Przyjazdy i odjazdy pociągów podane są podług zegara środkowo-europejskiego.

Pociąg	godzina	Przychodzą do Lwowa na dworzec główny:
pospiesz.	12·15	z Czerniowiec, Itzkan, Jass, Constancy, Bukaresztu,
„	2·31	z Krakowa, Orłowa, N. Sącza, Jasła, Chabówki, Zakopanego, Berlina, Wrocławia, Warszawy i Wiednia
osobowy	3·35	z Podwołoczysk, Grzymałowa,
„	6·10	z Krakowa, Berlina, Warszawy, Wiednia, Oświęcimia, Rymanowa, Sanoka, Chyrowa
„	6·20	z Czerniowiec, Itzkan, Suczawy, Czortkowa, Kałusza
„	6·46	z Brzuchowic (codziennie od 16 maja do 15 września włącznie)
„	7·45	z Janowa
„	8·00	z Tarnopola, (Brodów)
„	8·10	z Ławocznego, Chyrowa, Borysławia, Sanoka, Kałusza i Pesztu
„	8·15	z Sokala i Rawy ruskiej
„	8·50	z Krakowa, (Zagórza, Łupkowa, Przemyśla. Wiednia, Berlina, Wrocławia, Orłowa (od 15/6 do 15/9), Tarnowa, Pesztu
„	11·45	z Rzeszowa (Lubaczowa, Jarosławia, Sambora i Przemyśla)
„	11·55	z Stanisławowa (Kőrösmező, Potutor. Chodorowa)
„	12.55	z Janowa
„	1·10	z Skolego, Stryja Kałusza, Chyrowa (Ławocznego od 1/6 do 15/9
pospieszn.	1·35	z Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina, Tarnowa, Rzeszowa, Rozwadowa, Przeworska, Sanoka, Chabówki, Zakopanego
„	1·45	z Czerniowiec, Itzkan, Bukaresztu, Jass, Husiatyna, Stanisł.
„	2·35	z Podwołoczysk Grzymałowa, Husiatyna, Tarnopola i Brodów
osobowy	3·14	z Brzuchowic (od 16/5 do 15/9 w niedziele i święta)
„	4.40	z Sambora, z Borysławia, Drohobycza, Stryja
„	5·35	z Podwołoczysk, Kijowa, Odessy, Grzymałowa, Kozowy, Brodów
„	5·50	z Krakowa, Wieliczki, Orłowa, Rozwadowa via Dembica, Sambora, Chyrowa, Kalwaryi, Berlina, Wrocławia, Wiednia,
„	5·40	z Czerniowiec, Itzkan, Stanisławowa
„	6·00	z Sokala, Bełzca, Lubaczowa, Rawy ruskiej
„	7.36	z Brzuchowic (od 16/5 do 15/9 w niedziele i święta)
„	9.00	z Janowa (od 1/5 do 15/9 w niedziele i święta)
pospieszn.	8·40	z Krakowa, Wiednia, Berlina, Wrocławia, Tarnowa, Lubaczowa, Sanoka, Przemyśla,
osobowy	8·50	z Brzuchowic (16/5 do 15/9 codziennie)
„	9·41	z Janowa (codziennie od 1/5 do 30/9)
„	9·50	z Krakowa, Wiednia, Warszawy, Berlina, Wrocławia, Tarnowa, Jasła, Przeworska i Rozwadowa
„	9.20	z Czerniowiec, Itzkan, Bukaresztu, Husiatyna, Kőrösmező
„	10·50	z Ławocznego, Pesztu, Chyrowa, Kałusza, Borysławia
„	10·20	z Podwołoczysk, Kijowa, Odessy, Brodów, Kopyczyniec, Zaleszczyk, Skały, Iwania pustego
		Na dworcu „Podzamcze":
„	3·12	z Podwołoczysk, Grzymałowa, Tarnopola,
„	7·40	z Tarnopola i Brodów
pospieszn.	2·20	z Podwołoczysk, Kijowa, Odessy, Grzymałowa i Brodów
osobowy	5·11	z „ „ „ Kopyczyniec, Zaleszczyk Podwysokiego i Brodów
„	10·02	z Podwołoczysk, Kijowa, Odessy i Brodów, Kopyczyniec, Zaleszczyk, Skały, Iwania pustego

Uwaga: Pora nocna oznaczona jest ramkami. Czas środkowo-europejski jest późniejszy o 36 minut od czasu lwowskiego. W mieście wydają bilety jazdy: Zwykłe bilety ajencya dzienników J. St. Sokołowskiej, w pasażu Hausmana l. 9, od 7 rano do 8 godziny wieczorem, zaś zwykłe i wszelkiego innego rodzaju bilety, taryfy, illustrowane przewodniki, rozkłady jazdy itp. biuro informacyjne ck. kolei państw. (ulica Krasickich l. 5 w podwórzu, Schody II, drzwi l. 52) w godzinach urzędowych (8—3 w święta 9—12).

Pociąg	godzina	Odchodzą ze Lwowa z dworca głównego:
pospieszn.	12·45	do Krakowa, Rozwadowa, Jasła, Chabówki, Zakopanego, Orłowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina
„	2·51	„ Itzkan, Czerniowiec, Stanisławowa, Bukaresztu, Constancy
osobowy	4·15	„ Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina, Chyrowa, Sambora, Jasła, Stróż, Rozwadowa via Dembica, Wieliczki
„	5·45	„ Brzuchowic (od 16 maja do 15 września codziennie)
„	6·35	„ Ławocznego, Munkacza, Pesztu, Borysławia
„	6·30	„ Podwołoczysk, Kijowa, Odessy, Brodów, Kopyczyniec
„	6·25	„ Czerniowiec, Podwysokiego, Potutor
pospieszn.	8·30	„ Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina, Lubaczowa, Orłowa Chabówki, Zakopanego (od 1/5 do 30/9)
osobowy	8·40	z Krakowa, Bogumina, Warszawy, Chyrowa, Przeworska, Rozwadowa, Stróż, Tarnowa, a od 15/6 do 15/9 włącznie Sanoka, Rymanowa, Iwonicza i Jasła
„	9·00	„ Skolego, Chyrowa, Kałusza ([illegible] od 1/6 do 15/9)
„	9·15	„ Janowa
„	9·25	„ Podwołoczysk, Grzymałowa, Kozowy
„	10.25	„ Czerniowiec, Stanisławowa, Potutor
„	10·20	„ Sokala, Bełzca, Lubaczowa, Rawy ruskiej
„	1·25	„ Janowa (od 1 maja do 15 września w niedziele i święta)
pospieszn.	1·55	„ Podwołoczysk (Kijowa, Odessy, Brodów), Kopyczyniec, Zaleszczyk, Grzymałowa, Skały, Iwania pustego
osobowy	2·15	„ Brzuchowic (od 16 maja do 15 września w niedz. i święta)
pospieszn.	2·40	„ Czerniowiec, Itzkan, Stanisławowa, Husiatyna
„	2·55	„ Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina, Jasła, Chabówki Zakopanego
osobowy[1]	3·05	„ Stryja (do Skolego tylko od 1 maja do 30 września)
„	3·15	„ Janowa (codziennie od 1 maja do 30 września)
„	3·26	„ Brzuchowic (codziennie od 16 maja do 15 września)
„	3·30	„ Rzeszowa, Chyrowa, Przemyśla, Lubaczowa, Jarosławia
„	6·10	„ Stanisławowa
„	6·30	„ Janowa (od 1/5 do 15/9 w dnie powsz. a od 16/9 do 30/4 1902 codziennie)
„	6·20	„ Krakowa, Wiednia, Wrocł. Berlina, Warsz. Orłowa, (od 15/6 do 15/9) Chyrowa, Mező-Laborcza i Pesztu, Oświęcima
„	6·35	„ Ławocznego, Munkacza, Pesztu, Chyrowa, Kałusza
„	7.10	„ Tarnopola i Brodów
„	7·25	„ Sokala i Rawy ruskiej
„	7·52	„ Brzuchowic (od 16/5 do 15/9 w niedziele i święta)
„	9·30	„ Janowa (od 1/5 do 15/9
„	10·30	„ Czerniowiec, Itzkan, Jass, Bukaresztu, Czortkowa, Bertometu, Seretu, Brodiny, Suczawy
„	11.00	„ Krakowa, Wiednia, Warszawy, Wrocławia, Rozwadowa via Przeworsk, Chyrowa, Rymanowa, Iwonicza, Orłowa, Wieliczki, Chabówki, Zakopanego
„	11·10	„ Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec, Grzymałowa
		Z dworca Podzamcze:
„	6·43	„ Podwołoczysk, Brodów, Kijowa, Odessy, Kopyczyniec
„	9·42	„ Podwołoczysk, Kopyczyniec, Zaleszczyk
pospieszn.	2·08	„ Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec, Zaleszczyk, Skały, Iwania pustego Grzymałowa, Kijowa, Odessy
osobowy	7·32	„ Tarnopola i Brodów
„	11·32	„ Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec Zaleszczyk, Podwysokiego, Grzymałowa

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Platon Kostecki. — Z drukarni i litografii Pillera i Spółki.